

„BARDZO TWÓRCZA, PRZELAMUJĄCA SCHEMATY I ZASKAKUJĄCA JĘZYKOWO.
LEKTURA JEST PRZYJEMNOŚCIĄ, ALE I WYZWANIEM!”

Joanna Wrycza-Bekier, autorka m.in. bestsellerowej *Magii słów*

JAN JAMIŃSKI



MADAME MARGOT

LIRA
WYDAWNICTWO

MADAME MARGOT

JAN JAMIŃSKI

MADAME MARGOT

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-43-2

MALCOLM, DZIEŃ 1.

Pokój z widokiem na patio. Szczęściarz z pana.

Malcolm uderzył w dzwonek na recepcji hotelu. Spodziewał się portiera w ciemnej marynarce, a zza kotary wyłoniła się Latynoska w uniformie w kolorze szpitalnej bieli. Jej silikonowy biust stanął na baczność. Widok, który rozgrzewał nie mniej niż tutejsze powietrze. Malcolm przetarł czoło chusteczką. Zdziwił się, że upał nie naruszył makijażu recepcjonistki. Tipsa Siliconia de Barbados. Tak ją nazwie.

— Dzień dobry. — Uśmiechnęła się Siliconia. Jej fuksjowe tipsy zastukały w blat. — Miło mi szczupłego pana o tak ujmującym spojrzeniu powitać w naszym hotelu. Mam na imię...

Malcolm domyślił się, że przerwała zawiedziona widokiem jego wczesnej łysiny, którą błysnął spod uchylonego kapelusza. Mięśnie jej brzucha zmiękły, pozwalając piersiom osunąć się o parę centymetrów, co zwiększyło jego poczucie komfortu. Nie czuł się gotowy na takie bodźce świeżo po egzekucji swego małżeństwa. Jednak od pamiętnego piątego kwietnia osiemdziesiątego drugiego roku mijały dopiero trzy miesiące.

— Malcolm Lowry. Mam rezerwację — zaczęła.

— Tak, tak, Malcolm Lowry, który ma rezerwację...

Z zacinającej się szuflady pod blatem Siliconia wyciągnęła zeszyt. Przekartkowała go, operując tipsami sprawnie jak pająk odnóżami.

— Malcolm Lowry... Numer czternaście w skrzydle zachodnim. Pokój z widokiem na patio. Szczęściarz z pana.

— Pani sobie ze mnie kpi?

Recepcjonistka uśmiechnęła się, jakby robiła tak zawsze, gdy nie przychodziła jej na myśl lepsza reakcja.

Malcolm był już jednak poza zasięgiem tego uśmiechu. Pomyślał o pokoju z widokiem na patio, o biurku, przy którym spędzi wiele godzin, obierając, siekając i mieląc temat swej pracy doktorskiej. Przepis na doktorat? Tego mu wciąż brakowało. A więc biurko z widokiem na patio. Nigdy nie wiadomo, skąd nadejdzie inspiracja. Może zza kotar pokoju po drugiej stronie?

— Niech będzie z widokiem na patio. Proszę, mój paszport.

Recepcjonistka zastukała tipsem w zdjęcie paszportowe, na którym nie było jeszcze dyskwalifikującej łysiny. W datowanej tą fotografią przeszłości Lowry zdałby u niej test, który dziś oblał.

— Zaprowadzić pana do pokoju? To na pierwszym piętrze.

— Dziękuję, trafię sam.

Malcolm sapnął, podnosząc walizę. Poczłapał schodami w górę. Jeśli uda mu się skończyć doktorat, to zostawi tu te tomy językowych analiz i historii rozpraw sądowych. Spali wszystkie książki na plaży, ze śpiewem i rumem w gardle, a dlaczego by nie? Christine narzekała, że brak

mu fantazji. Gdy parę razy spróbował udowodnić, że jego żona się myliła, okazywał się z kolei za mało odpowiedzialny jak na swoje trzydzieści, potem trzydzieści jeden i ostatecznie trzydzieści dwa lata.

Kółka walizy skrzypiały w innej tonacji niż deski podłogi. Z półotwartego pokoju dobiegło bzyczenie nastawianego radia. Wszystko ucichło przed drzwiami z numerem czternaście. Oto jego gabinet na najbliższe cztery tygodnie.

Miał wrażenie, że w pokoju wyczuwał zapach papieru, co nastroiło go pozytywnie. Zrezygnował z rozpakowania walizy. Położył się na łóżku, by ochłonąć. Wpatrywał się w balansujący pod sufitem wentylator. Poganiacz leniwie pasących się w upale myśli. Wstał i dokonał rutynowego przeglądu mebli. Wysłuzone, ale o kształtnych zaokrągleniach jak u Topsy z recepcji. Czyli zapadła mu w pamięć... Rolety były podciągnięte. I zepsute? W pokoju z oknami na patio? Zgłosi to jutro. Dziś potrzebował odpocząć po podróży. Ściągnął sandały i spoczął na łóżku.

Przebudził się w ciemności nieprzyjemnej, bo dusznej, ale też zachęcająco obnażonej dzięki światłu z zewnątrz. Zalety zepsutych rolet. Fosforowane wskazówki jego zegarka pokazały drugą dwanaście. Przeciągnął się, ryzykując naciągnięcie mięśni. Od lat nie uprawiał sportów bardziej wyczynowych niż pisanie na czas lub do celu. Chwycił butelkę wody i wyszedł na balkon. Powietrze jakby stężało pod naporem nocy. Zapach roślinności z dna patia próbował przebić się ku górze. Pomruki morza brzmiały jak odtworzone z płyty gramofonowej, na której igła przeskakiwała w ostatnim rowku. Ten powtarzalny

dźwięk gaszonej muzyki kojarzył mu się z miarowym oddychaniem. Niósł spokój, którego potrzebował.

Rozejrzył się po patiu. Miało kształt kwadratu o boku dwudziestu paru metrów. Sieć alejek w dole rozdzielały klomby. Pośrodku, w otoczeniu fikusa i paru krzaków, rosła szopa. Nie znał się na architekturze, ale stawianie tego typu obiektu w takim miejscu wyglądało na marny dowcip. Na patio prowadziło przejście pod zabytkowym portalem wyglądającym jak magiczna brama do świata Majów.

Jasność, którą po przebudzeniu ujrzał za oknami, docierała z wnętrza przeszklonego apartamentu na parterze, blisko jego balkonu. Teraz jego uwagę zwróciła plama na tafli tego światła. Cień jednej postaci? Raczej dwóch, idących razem. Cienie się zbliżały. Na scenę wkroczył barczysty, brodaty mężczyzna prowadzący drobną blondynkę, półnągą i związaną. Pchnął ją na kanapę i wyciągnął ze spodni pasek. Zaczął go nawijać na dłoń. Malcolm poczuł, że zrobiło mu się gorąco. Tak szykował się do bicia jego ojciec. Wspomnienie to czasem wracało, gdy sam rolował pasek przed ułożeniem go w szufladzie.

Mężczyzna pozostawił zwisający krótki odcinek pasa, odwrócił blondynkę na plecy i zaczął okładać po całym ciele. Wiła się na kanapie, próbując robić uniki, ale nie krzyczała. Malcolm dostrzegł, że była zakneblowana. Przełknął ślinę i rozejrzył się, czy jeszcze ktoś jest tego świadkiem. Nie zobaczył nikogo w ciemnych oknach.

Brodacz wyciągnął nóż i zapalniczkę. Zaczął ogniem wytrawiać ostrze. Malcolm cofnął się do pokoju. Wziął

łyk wody i spojrzął na telefon. Nie miał wyjścia. Podniósł słuchawkę. Bez zdecydowania, którego się po sobie spodziewał.

— *Uprzejmie informujemy, że połączenia poza hotelem możliwe są tylko z recepcji. Zapraszamy codziennie w godzinach od siódmej rano do dziesiątej w nocy.*

Zdziwiło go, że odczuł ulgę. Chyba się bał, że narazi się na śmieszność. To, co miałby do powiedzenia policji, wydawało się niewiarygodne. Nadal trzymał słuchawkę w dłoni. Odłożył ją. Wahał się przez chwilę, ale wrócił na balkon.

Mężczyzna właśnie skończył. Rozsunął szklane drzwi na patio i rozsiadł się na krześle. Blondynka na całym ciele miała czerwone pręgi, a na udzie wycięty krwawiący ornament. Malcolm zdał sobie sprawę, że gdyby wzywała pomocy, usłyszałby jej stłumione przez knebel krzyki. Dlaczego tego nie zrobiła? I dlaczego mężczyzna nie zgasił światła? Było po drugiej w nocy, ale teoretycznie każdy z gości mógł ich zobaczyć. Brodacz wstał, jedną ręką podniósł kobietę i wywłókł na patio. Stała wyprostowana, jakby przeciw czemuś protestowała. Popatrzyła w górę, w stronę przeciwnego skrzydła hotelu. Malcolm dostrzegł na końcu tego spojrzenia, na najwyższym, czwartym piętrze, inną kobietę, w czerwonej sukni, stojącą na balkonie z kieliszkiem wina w dłoni. Widział ją dość wyraźnie w blasku lampionu, który musiała zapalić, gdy poszedł zatelefonować. Miała około czterdziestu lat, pociągające kształty i wyczuwalną w ruchach, niezaprzeczalną klasę. Malcolm zrozumiał. Przedstawienie było dla niej. Kobieta w czerwieni zapaliła papierosa i skinęła

głową. Mężczyzna kopnięciem podciął nogi torturowanej. Upadła na chodnik, rozbijając o niego głowę.

Malcolm zasłonił usta. Zaklął na głos, czy tylko mu się zdawało? Przywarł do ściany. Poczuł, jak ziarnisty mur odciska wzór na jego plecach. Mieścił się cały w ciemnym narożniku balkonu. Uniknąłby zdemaskowania, nawet gdyby brodacze lub kobieta w czerwieni spojrzeli w jego stronę.

Ostrożnie wyrzwał z cienia. Pobita blondynka leżała na chodniku. Obok jej głowy pojawiła się strużka krwi. Torturowana poruszyła nogą i biodrami, próbując wygodniej się ułożyć. Mężczyzna rozciął jej więzy i okrył ją kocem. To zachowanie zaniepokoiło Malcolma. Przestał rozumieć, czego właściwie był świadkiem. Kobieta wyciągnęła spod koca prawą rękę. Ujrzał to wyraźnie, choć wolałby tego nie widzieć. Jak to się stało, że nie zauważył wcześniej? Ręka pozbawiona była dłoni. Spojrzał na damę w czerwieni. Przyglądała się teraz niebu, ukazując swój profil. Malcolm zadrżał, gdyż uświadomił sobie, że zapragnął tej twarzy, tej sukni i tych gestów. Szalenie zapragnął doświadczyć ich z bliska.

CLAIRE, DZIEŃ 1.

Do usług, proszę pani.

Claire de Morge stanęła przed schodami. Poprawiła natapirowane włosy, jakby szykowała się do publicznego występu. Anorektyczna, krótko ostrzyżona asystentka zatrzymała się za nią. Nie śmiała wyprzedzić szefowej ani o krok, ani o długość włosa. Claire nie przywykła do komplikacji. Zaginiony na parę godzin bagaż, potem awaria taksówki w drodze z lotniska i brak windy w hotelu. Nie tolerowała komplikacji, nigdzie i nigdy. W jej dziale każde odstępstwo od procedury tępiła jak robactwo. Tak reklamowała swą filozofię jakości. Tępić jak robactwo w stanie larwalnym, zawczasu, nim rozpełźnie się na pół firmy.

Claire rozpięła żakiet. Czuła lepkość na całym ciele. Pory jej skóry przez cały dzień filtrowały z otoczenia plankton pyłu i kurzu. Marzyła o katarskiej kąpeli.

— Mogę pomóc z tą walizką. — Młoda recepcjonistka chwyciła za jej uchwyt, prezentując swoje tipsy.

— Zostaw. — Claire podniosła pięść uzbrojoną w ka-stet pierścieni.

Wyprostowała się i zaczęła wciągać walizkę stopień po stopniu. Jej asystentka cierpliwie naśladowała ją w tej pantomimie.

Claire odwróciła się, słysząc za sobą tupot. Zdyszany młodzieniec w wojskowych spodniach i butach podbiegł z dołu.

— Panienki pozwolą. Już się do tego biorę.

Przechwycił najpierw walizkę asystentki, czym wprawił ją w zakłopotanie, i nie zyskał sympatii jej przełożonej. Claire oddała mu swoją z grymasem pretensji o to, że przybył spóźniony. Kobiety podążyły skrzypiącymi schodami za absolutnie nieskrzypiącymi męskimi posładkami.

Żołnierz postawił obie walizki przed drzwiami do pokoju na czwartym piętrze.

— Matthew, korpus medyczny, fort Sam Houston w stanie Texas.

— A ja jestem Margareth, ale proszę mi mówić Maggie.

De Morge nie przedstawiła się, tylko wsadziła żołnierzowi do kieszonki koszuli pięciodolarowy banknot, jakby to była jej wizytówka. Wyciągnął go i odparł:

— O, awansowałem na kelnera. To kupię dla pań koktajle. — Zasalutował i zeskoczył w dół, pokonując kilka stopni naraz.

Claire otworzyła drzwi do penthouse'u. Widok pokoju dziennego ukoił jej zmysły. Fotele w kolorze dystyngowanego różu zachęcały do odpoczynku przy kominku z tłem z kasetonowych paneli. Przeszła do sypialni. Łóżko z baldachimem uwiarygodniało nazwę apartament wiktoriański, podobnie jak ukryta za kolejnymi drzwiami łazienka ze stylizowaną wanną na postumencie. Claire wróciła do salonu i wskazała Margareth wejście do drugiej, mniejszej sypialni.

Podciągnęła rolety w oknach po lewej stronie. Panorama rozciągająca się z balkonu od strony patia zniweczyła efekt ukojenia.

— Po prawej masz okna z widokiem na morze. — Pospieszyła z wyjaśnieniem asystentka. — Skorzystaj z łazienki. Moja wanna prezentuje się bosko, twoja pewnie tym bardziej.

— Wysyłasz mnie do łazienki, bo chcesz poplirtować z tym Matthew o aspiracjach chłopca na posyłki? — Claire uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. — OK, odbierz od niego koktajle. Ja muszę wskoczyć pod wodospad. Tylko wykonam jeden telefon.

Claire podniosła słuchawkę i po chwili opuściła ją jak brudną szmatę, którą z obrzydzeniem chwytają się koniuszkami palców.

— Stąd można zatelefonować tylko na recepcję! — Podniosła głos. — Wyobrażasz sobie? Będę musiała schodzić na sam dół na każdy conf-call z Londynem!

De Morge uznała, że rzeczy z walizki wypakuje rano. Wyjęła tylko szlafrok, kosmetyczkę i notatnik. Przed snem przejrzy zapiski z podróży. Miała do opracowania założenia nowego procesu kontroli. Nie przyleciała tu na wakacje. Sam prezes namówił ją na urlop po jej starciu z działem sprzedaży. Przeciw jego dyrektorowi Claire wytoczyła najcięższe działo. Członka prezesa, jej kochanka. Biedny, spolegliwy Richard. Aby mieć czas na załagodzenie sporu, wysłał ją na Barbados, do tej anglojęzycznej enklawy na Karaibach.

Claire już miała wejść do łazienki, gdy wstrzymał ją piskliwy odgłos dzwonka. Otworzyła, nie czekając na

Margareth. Śniady facet w średnim wieku, z wąsikiem i śliskim uśmiechem, trzymał tacę z koktajlami.

— Bijecie się, chłopcy, o to, kto ma nam przynosić drinki do pokoju? Matthew nie dał ci rady?

— Służenie paniom to obowiązek mój, nie tego chłystka. Charlie, maître d'hôtel.

Charlie popatrzył na kobietę i wychylił się, jakby sprawdzał, czy ktoś za nią stoi. Claire odwróciła się i w tym momencie poczuła na brzuchu dłoń kelnera. Cofnęła się, odstupując od drzwi. Charlie wszedł i postawił tacę na stole. Claire syknęła ostrzegawczo i zawołała Maggie. Raz. Zaraz drugi raz, głośniej. I kolejny.

— Ups, pani asystentka pewnie słucha muzyki na słuchawkach i zajmuje się sobą, hm... może w łazience?

Charlie puścił oczko i zbliżył się do kobiety. Objął ją i pocałował. Claire sparaliżowało. Dopiero po chwili odepchnęła intruza.

— Do usług, proszę pani. — Charlie uklonił się i wyszedł.

Claire przyłożyła do nosa dłoń, którą wcześniej położyła na klatce piersiowej Charliego. Poczowała zapach tanich perfum i potu, także taniego, pochodzącego z ciała, które było pojone i karmione byle czym. Otrząsnęła się z tych skojarzeń i przekręciła zamki w drzwiach. Oparła się o nie. Normalnie dałaby gnojowi w ryj, ale coś ją powstrzymało. Coś dla niej niezrozumiałego.

Charlie przysłuchiwał się zza drzwi. Uśmiechnął się na odgłos przekręcanego klucza.

— Te nowe się nadadzą — wyszeptał. — Ta de Morge na pewno się nada.

MALCOLM, DZIEŃ 2.

*Czy do kogoś jeszcze chciałby pan zatelefonować,
panie Lowry?*

Malcolm zatrzymał się na schodach. Od drugiej dwanaście minęło wiele momentów na podjęcie decyzji. Wszystkie przeczekał. Noc przeleżał, wpatrując się w wentylator pod sufitem. Mieszał mu myśli z nie mniej rozpalonym od nich powietrzem. A teraz za zakrętem czekała na niego recepcja. Tipsy Siliconii de Barbados niecierpliwie stukające w blat. Jeżeli wykona tych kilka kroków, będzie musiał zatelefonować na policję. Do tego zmuszało go sumienie, które nie dopuszczało odmiennego spojrzenia na sprawę. Spojrzenia pod innym kątem. Na przykład z czwartego piętra. Z pokoju damy w czerwieni. Musiała mieć powód. Gdyby go poznał, mógłby teraz wycofać się do pokoju.

Zrobił kilka kroków i znów się zatrzymał. Z dołu dotarły do niego odgłosy bawiących się dzieciaków, których grono nie było zbyt liczne jak na kurort w okresie wakacyjnym. Usłyszał za sobą kroki. Nie obejrzał się, dlatego oszołomiło go objęcie przez kobiecą rękę w podmuchu owocowych perfum.

— Pan chyba do mnie?

Tipsa pociągnęła go po schodach w dół. Stanęli przy recepcji. Odetchnął, gdy dłoń i słodkawa aura Siliconii odpłynęły z nadbrzeża jego ciała.

— Czy ktoś zgłaszał jakiś incydent, który wydarzył się... w nocy? — spytał.

— To może ja przejdę na właściwą stronę. — Recepcjonistka z wdziękiem prześlizgnęła się za blat. — O jaki incydent panu chodzi?

— Nocny.

— Aha. — Tipsa uśmiechnęła się i otworzyła zeszyt. — Chce pan zgłosić skargę? Dobrze zrozumiałam, prawda? Malcolm pokręcił głową.

— Czy mogę stąd zatelefonować na policję?

— Na policję? Oczywiście, proszę. Z tego telefonu.

Malcolm zrozumiał, że rozmowę będzie musiał odbyć w obecności recepcjonistki. Wykręcił numer, który wskazała na tabliczce na ścianie. Po kilku sygnałach, zamiast beznamietnego głosu z komisariatu, usłyszał wibrujący szept.

— *Rzeczy toczą się własnym trybem, dla ludzi z zewnątrz czasem niezrozumiałym. Może lepiej nie trafić między te tryby, panie Lowry z pokoju... numer czternaście?*

Malcolm chrząknął i odłożył słuchawkę. Stał w bezruchu. Jego umysł też stał w bezruchu. Nawet nie zdołał odczuć strachu, który powinien być właściwą reakcją na tę groźbę.

Zrozumiał coś innego. W nocy był świadkiem sceny, którą musiała poprzedzać długa, nieznaną mu droga. Ci, którzy ją przebyli: kobieta z balkonu, brodac, torturowana, mieli inne doświadczenia niż on, zupełnie inny wgląd w tę sprawę. No właśnie. Ta sprawa nie pozwoli mu się skupić na doktoracie. Miał tu odnaleźć

spokój i inspirację. Miał zakończyć kolejny etap w życiu, by móc zacząć od nowa z czystym kontem. Cholerna karma.

— Czy do kogoś jeszcze chciałby pan zatelefonować, panie Lowry z pokoju numer czternaście? — spytała recepcjonistka.

Malcolm pojął, jak bardzo nie docenił Tipsy. Sylikonowy biust i sztuczne paznokcie stanowiły doskonały kamuflaż, ale dlaczego z niego zrezygnowała, i to tak szybko? Z zadumy wybudził go okrzyk. Przez wejście do recepcji wpadła piłka i doturlała się pod jego nogi. Odkopnął ją, zanim któreś z dzieci zdążyło zajrzeć do środka.

— Dzieciństwo jest takie niewinne, prawda? — zagadnęła Tipsa i sięgnęła po wachlarz, którym odpędziła rozgrzane powietrze.

Poczuł perfumy recepcjonistki. Miał wrażenie, że działały narkotycznie. Zebrał się w sobie. Musiał zmienić nastawienie do Tipsy. Komiksowy obraz lali z dużym biustem nakreślił zbyt pochopnie.

— Rolety w moim pokoju są zepsute. Mógłby ktoś je naprawić? — Postanowił zrobić to, co robił w trudnych sytuacjach, a co tak irytowało jego żonę. Zmienić temat.

— Mógłby ktoś naprawić, ale dzień później się zepsują.

— Skąd pani to może wiedzieć?

— Bo to się powtarza za każdym razem. Takie małe fatum, przepowiednia, no, nie wiem co. Tak po prostu się dzieje, i już.

— Nie będziesz opuszczał rolet w oknach nadaremno? — skomentował z przekąsem Malcolm.

— A po co panu działające rolety? — Zaniepokoiła się Tipsa. — Przecież to nie plaża i słońce są atrakcją tego miejsca, lecz widoki z okien od strony patia. Turyści, którzy są koneserami, to doceniają...

Lowry zrozumiał, że w dłuższej perspektywie zmiana tematu się nie powiodła. Pokiwał głową i odpowiedział Tipsie sylikonowym uśmiechem.